Waranasi moja miłość… za mocno napisane? Nie lubię takich patetycznych tekstów, ale naprawdę lubię to miasto i polubiłam już będąc po raz pierwszy w Indiach. I jak to bywa z prawdziwymi miłościami, tę też trudno racjonalnie wytłumaczyć. Zresztą, po co?

Waranasi to jedno z najstarszych miast świata, tajemnicze, głośne i tłoczne, choć mieszka w nim około dwóch milionów ludzi, co jak na warunki indyjskie nie jest imponującą liczbą. Kojarzone jest z Gangesem, który przepływa przez miasto i ghatami, czyli schodami wiodącymi do rzeki, na których toczy się życie od wczesnego świtu po poźne godziny w nocy. Na ghatach ludzie się modlą, piorą, medytują, z ghatów skaczą do wody rozchichotane dzieci i na ghatach odbywają się kremacje zmarłych. Całe stare Waranasi było labiryntem, który tworzyły ciasne uliczki – goli, z milionem sklepików i kramów z jedzeniem, obrazkami przedstawiającymi bogów, dzwoneczkami, sznureczkami i wszystkim, czego człowiek potrzebuje. Całe stare Waranasi BYŁO… Bo ku żalowi każdego, kto poznał je kiedyś i lubił po nim spacerować, to stare miasto władze zaczęły wyburzać. Wiedziałam o tym jadąc do Waranasi, ale to co zobaczyłam w realu przerastało moje wyobrażenia.

Do Puja Guest House hotelu, w którym zawsze się zatrzymujemy, prowadziła droga przez morze gruzów. Gdzieniegdzie wzrastały ponad sterty cegieł, niegdyś ukryte w zaułkach goli, małe świątynie. „Nasza” Puja się ostała, draśnięta z jednej strony zębami buldożera. Byłam w szoku. Jeszcze gorzej wyglądało to wszystko następnego dnia w świetle dziennym. Na szczęście napięty grafik zwiedzania rozpisany na każdy dzień nie pozwolił się dłużej zastanawiać w jakim kierunku pójdzie przebudowa miasta.

A następnego dnia po przyjeździe do Waranasi, wstaliśmy o 4.30, żeby się umyć, ubrać i zejść do zacumowanych przy ghatach łódek i z nich, a dokładniej z Gangesu, obejrzeć wschód słońca i zobaczyć budzące się życie na brzegu świętej rzeki. Rejs trwał jakieś dwie godziny, po czym wróciliśmy do hotelu na śniadanie a po nim ruszyliśmy rykszami do Sarnath, jednego z najważniejszych miejsc dla buddyzmu, bo to właśnie tam Budda wygłosił pierwsze kazanie. W Sarnath poszliśmy najpierw do muzeum, w którym zgromadzone są artefakty sprzed naszej ery i z początku naszej ery – rzeźby, płaskorzeźby, broń… a potem poczłapaliśmy do Parku Jeleni zobaczyć Stupę Damekh, wybudowaną około 500 roku naszej ery, aby zastąpić wcześniejszą budowlę sprzed naszej ery wzniesioną po to, by upamiętnić wspomniane wcześniej kazanie wygłoszone przez Buddę pięciu uczniom. Oprócz stupy są tam i inne stanowiska archeologiczne, odsłonięte dla zwiedzających, a będące resztkami budowli sprzed setek lat.

Z Sarnath, w wielkim upale, wracaliśmy do Waranasi, by zdążyć na pudżę, czyli nabożeństwo celebrowane przez siedmiu braminów poświęcone zmarłym, świętej rzece Ganges i żywiołom. Pudża oglądana przez nas z łodzi na Gangesie zostanie na pewno w sercach i pamięci uczestników wyprawy. To nie tylko czas modlitwy, ale też widowisko, w którym ważną rolę odgrywają światło ognia, dźwięki dzwonków, instrumentów hinduskich i swoisty teatr gestów kapłanów. Po pudży, wracając do hotelu, puściliśmy na wodach Gangesu liściane miseczki ze świeczką, kwiatami… na znak oddania czci Matce – rzece, ale także zmarłym.

Kolejny dzień pobytu w Waranasi wypełniła wycieczka po mieście od świątyni do świątyni.

Kiedy dotarliśmy do hotelu Rysiu i Shiva (nie bóg, a hotelarz – właściciel Pujy) zabrali dziewczyny na zakupy, by zainteresowane kupiły sari. Sari ostatecznie kupiła jedna, a hitem dnia okazały się jedwabne spodenki – bokserki, które kupila większość grupy (me too)… Natomiast wieczorem obejrzeliśmy genialny pokaz tradycyjnych tańców hinduskich, a następnego dnia poszliśmy zobaczyć malutką, cudną świątynię tybetańską i Manikarnika Ghat, czyli miejsce kremacji zwłok. Zawsze zastanawia mnie jak zareagują na Manikarnika Ghat młodzi, dla których śmierć jest tabu i tematem abstrakcyjnym. Tymczasem okazuje się, że to, co widzą przyjmują godnie, spokojnie, bez niezdrowej sensacji. A po tym, co kojarzy się z sacrum, przyszła pora na profanum, więc poszliśmy do sklepu z najpiękniej pachnącymi olejami świata i do kina…na Sex clinic (info. dla rodziców: wbrew tytułowi film był bardzo przyzwoity). A po kinie? Wiadomo, pakowanie, wczesna kolacja i dtoga na dworzec kolejowy, bo przed nami Amritsar.